

sm

PODRÓŻE

**MONUMENT VALLEY
W USA**

Ameryka jak w

**STOJĄC NAD WIELKIM KANIONEM I PATRZĄC NA JEGO BEZKRES,
POCZUŁEM ULGĘ. JECHALIŚMY I WSZYSTKO SZŁO DOBRZE.
A UWIERZCIE MI, ZORGANIZOWANIE WYPRAWY PO DRUGIEJ
STRONIE ATLANTYKU NA OSIEM MOTOCYKLI I DWANAŚCIE OSÓB
NIE JEST SPRAWĄ ŁATWĄ.**

Tekst i zdjęcia JAROSŁAW SPYCHAŁA





e śnie



Wyprawa, której trasa przebiegała przez sześć stanów Zachodniego Wybrzeża i liczyła pięć tysięcy kilometrów, zaczęła się od postoju na środku autostrady w Los Angeles wymuszonego... przeoczeniem zerowego poziomu paliwa w jednym z wypożyczonych motocykli. Po krótkiej akcji (bieg w poprzek autostrady do pobliskiej stacji benzynowej) pognaliśmy dalej, by przeciąć pustynię środkowej Arizony przez Seligmann i wielki Kanion w kierunku Monument Valley.

W „czterech rogach”

„Grająca” w większości westernów Dolina Monumentów wygląda tak, jakby była zrobiona w Photoshopie. Aby zobaczyć szczegóły, nale-

żałoby wjechać na kilkudziesięciokilometrową szutrówkę, co dla kawalkady Harleyów mogłoby się skończyć różnie.

Napotkany tubylec na widok tyłu motocykli, po chwili obserwacji spytał: „Jak nazywa się wasz gang?”. I jakoś nie chciał uwierzyć, że żaden gang, tylko „tourists from Poland”. Kiwał głową, ale wyglądało na to, że swoje wiedział.

Po drodze okazało się, że mamy ze sobą 13. uczestnika – wirusa przywiezionego przez jednego z kolegów z kraju. Ów turysta na gapę, oprócz darmowego lotu i zwiedzania Stanów, zwiedził również w czasie wyjazdu po kolei prawie całą naszą grupę, wybierając sobie codziennie kolejną ofiarę, z którą postanawiał danego dnia pojeździć. W gorącym, wrześniowym słońcu, niespiesznym tempem dotarliśmy do amerykańskiego odpowiednika

naszego dawnego „Trójkąta Trzech Cesarzy” – do jedynej miejsca w USA, gdzie spotykają się cztery Stany: Kolorado, Nowy Meksyk, Arizona i Utah. W miejscu tym, zwanym „Four corners”, generalnie nie ma nic, oprócz oznaczenia geograficznego oraz Indian sprzedających paciorki i inne błyskotki turystom. Jak ktoś się uprze, może być w czterech stanach jednocześnie, tylko należy stanąć w pozycji „do pompek gotów”.

Jak japońska wycieczka

Wjechaliśmy do Kolorado, gdzie zaczęły się góry. Jednym z celów wyjazdu było zobaczenie Mesa Verde, miasta Indian Anasazi, wykutego pomiędzy VI a XIV w. n.e. w skałach na wysokości 2500 m n.p.m.

Wspinanie się serpentynami do Mesa Verde w palącym słońcu było

wykańczające. A Anasazi na piechotę tu wchodziłi... Na szczycie faktycznie zaczęło się pasmo wykutych w skałach domów. Takie północno-amerykańskie Machu Picchu. Lejący się żar z nieba spowodował, że entuzjazm naszej grupy do zwiedzania połączonego z bieganiami po górach ostygł niczym lawa na lodowcu. Wykończeni słońcem część atrakcji zobaczyliśmy po prostu przy pomocy zoomu aparatów fotograficznych, niczym dobra, japońska wycieczka.

Dalej trasa zaprowadziła nas na północ Utah, do słynnego parku narodowego Arches. Okazuje się, że słynny, pokazywany na każdym, pamiątkowym zdjęciu łuk skalny jest jednym z dziesiątek, a nawet setek formacji skalnych o kształcie łuku. A wszystko w tonacji pomarańczowej, rozciągnięte na ogromnej przestrzeni pośród gór Utah.



Największe wrażenie zrobiło na mnie trzech gości, którzy dojechali tu na motocyklach z silnikami o pojemności ok. 100 ccm, przypominających bardziej motorowery.

Country na pustyni

W Stanach wrażenie goni wrażenie, każdy dzień zalewa zmysły falą widoków i doznań tak odmiennych i intensywnych, że momentami trudno uwierzyć, iż to, co się widzi, jest i dzieje się naprawdę. Takiego uczucia doświadczyłem, kiedy jadąc na południe Utah przez bez mała 200 km pokonywaliśmy pustynię San Rafael: długa, niekończąca się prosta. Po obu stronach regularne, piaskowe wydmy, żar lejący się z nieba i jedyny, mijany po drodze samochód – samotny policjant z Highway Patrolu. A w radiu – je-

dyna, odbierana stacja – Radio Desert – nadająca country.

Ze stacjami radiowymi odbieranymi w trakcie całej podróży też jest ciekawa sprawa. Dużo stacji religijnych, dużo country, a jak country, to o tym, że Ameryka jest najlepszym krajem na świecie, że wszystko dla kraju, że nawet jak ciężko, to i tak Kocham swój kraj itd. Myślę, że gdyby ktoś u nas zaczął nagrywać (a ktoś inny puszczać) piosenki, że Kocha swój kraj i jest on piękny, nawet jak ciężko, zamknęliby go do czubków. A tu Kochają swój kraj i są z tego dumni. Można nie jęczeć i nie kwękać? Urządzili sobie przyjazny kraj, gdzie najważniejsze jest to, aby wszystko było dla ludzi. My w tym w samym czasie robimy dokładnie odwrotnie. Różnica między nami a nimi jest taka, że Amerykanie, kiedy ludzie przez skwerek wydeptują ścieżkę,



bo tak im bliżej, robią w tym miejscu chodnik. My w takiej sytuacji stawiamy płoty i policjanta, żeby go pilnował.

Kiedy skończyła się pustynia, znów zaczęły się niezłe góry. Harleye, lekko stukając zaworami, zaczęły sznurkiem wspinać się na wysokość przeszło 2 tys. metrów do kolejnego parku narodowego – do kanionu Bryce.

Opisywać widoków nie będę. Po prostu się nie da. Do dzisiaj się zastanawiam, czy Kanion Bryce nie jest jeszcze bardziej niesamowity niż Wielki Kanion Kolorado. Jest na pewno bardziej różnorodny, powa-

NAPOTKANY TUBYLEC NA WIDOK KILKUNASTU MOTOCYKLI, PO CHWILI OBSERWACJI SPYTAŁ: „JAK NAZYWA SIĘ WASZ GANG?”. I JAKOŚ NIE CHCIAŁ UWIERZYĆ, ŻE ŻADEN GANG, TYLKO „TOURISTS FROM POLAND”. KIWĄŁ GŁOWĄ, ALE SVOJE PEWNIE WIEDZIAŁ...





lający. I na jego skraju można się poczuć, jak lecący orzeł, gdyż ogląda się go z góry.

W Harley-Davidson Cafe

Gór, pustyni, kanionów i parków narodowych mieliśmy już spory zapas, więc dalszy plan zakładał zjazd (znowu przez pustynię) do Nevada wprost do Las Vegas. Harleye, tak, jak spisały się zadziwiająco wymiennie na górskich serpentynach, tak samo dobrze spisały się na autostradzie.

W Las Vegas atrakcji jest bez liku i – jak mówią tubylcy – „o tym, co robiłeś w Las Vegas, rozmawia się tylko w Las Vegas”. Roller coaster mają naprawdę szybki i aż strach się bać. Widzieliśmy też niezłe show z udziałem wielu zgrabnych pań (i panów), ale mnie najbardziej utkwiła w głowie wizyta w knajpie Harley-Davidson Cafe, gdzie powstawiano motocykle, które kiedyś były w posiadaniu m. in. Elvisa Presleya, Pete-



ra Fondy czy Dennisa Hoopera. Część z nich jeździ na specjalnym taśmociągu pod sufitem. Generalnie mógłbym w niej zamieszkać. Przynajmniej na jakiś czas. Ponieważ nawet przypalany ogniem nie byłbym w stanie kontynuować zeznań, co do innych, odwiedzonych miejsc powiem tylko, że w nocy, we wrześniu było 30°C, a w dzień blisko 40°C. Dlatego dalsza podróż przez Dolinę Śmierci (Death Valley) poprzedzona drogowskazem „Następny serwis za 230 km” kosztowała nas i motocykle naprawdę sporo zdrowia. Trudno w to uwierzyć, ale jechaliśmy w temperaturze dochodzącej do 52°C. W cieniu... Co mogło tłumaczyć niski poziom entuzjazmu przy zwiedzaniu największej depresji obu Ameryk, czyli Bad Water. Ale wszyscy przeżyli i bez strat rozpoczęliśmy wspinaczkę przez kalifornijskie pasmo Sierra Nevada do Parku Narodowego Yosemite. Tego dnia pobiliśmy rekord wysokości imprezy, wjeżdżając na przeszło 3 tys. m n.p.m.

Pojechał, choć połamany

Właśnie w Yosemite, przy stosunkowo trudnym technicznie dla Harleya zjeździe z najlepszego w parku punktu widokowego na Half Dome, niestety doszło do wypadku. Podobno upadek Jacka miał coś wspólnego z przebiegającym niedźwiedziem grizzly. W każdym razie złożony mocno w zakręcie motocykl gmołem zahaczył na ostrym łuku o asfalt, odbił się i bęc.

Jacek dzielnie się pozbiarał i przejechał jeszcze blisko 40 km do naszego miejsca noclegowego w Yosemite Village. Okazało się, że jest źle, więc skończyło się wezwaniem karetki, wizytą w szpitalu i diagnozą: złamany obojczyk, popękane kości śródstopia, coś z kostką. A więc noga w plastikowym usztywnieniu do kolana, ręka na temblaku, usztywniona z obojczykiem. Dramat.

Lecz nasz kolega okazał się twardzielem nad twardziele. Nie



dał się odebrać awaryjnie do domu, tylko oświadczył, że pojedzie z nami dalej w roli pasażera.

Uszkodzony motocykl odtransportowany został do dealera, a twardej ładunek został do Street Glide'a. Jacek przejechał – mimo silnego bólu, jaki dostarczały mu na nierównościach przesuwające się, popękane i połamane kości – całą trasę do San Francisco i dalej do Los Angeles. Przeszło 1000 km gór i serpentyn.

Po tym niemiłym, ale dobrze zakończonym incydencie dotarliśmy do San Francisco, gdzie dołączył do nas na swojej dwulitrowej Kawasaki Vulcan stale tam mieszkający mój przyjaciel, Jarek, który popilotował ekipę aż do LA.

Niestety, pogoda zaczęła się gwałtownie zmieniać. Most Golden Gate – cały we mgle. Za to Alcatraz – nie. Więzienie okazało się miejscem przerażającym. Nie wiem, jak można było wytrzymać tam choćby tydzień.

Chcę zobaczyć bizona

Trasa do Los Angeles była dla nas mało łaskawa. Temperatura spadła do kilku stopni, mgły ograniczyły widoczność do 100 m, wszędzie wciskała się wilgoć. Po drodze trafiliśmy na wylegające się setkami na plaży słonie morskie, a potem, ni stąd ni zowąd, na sklep dla motocyklistów. I tu – mały szok: prowadził go neofaszyści, którzy sprzedawali hitlerowskie oznaczenia mundurowe, ze znakami formacji „SS” włącznie. Jeszcze bardziej zdziwiłem się, kiedy okazało się, że handel tego typu rzeczami w Kalifornii nie jest zabroniony.

Nocny wjazd do Los Angeles był niczym z utworu Highway to Hell. Miejscami ośmio-, a w większości pięciopasowa autostrada, zatłoczona tysiącami aut mknących 120-130 km/h zderzak na zderzaku. W środku tego my, usiłujący się nie pogubić, co w nocy, kiedy widać tylko czerwone, tylne światła, nie



jest łatwe. W tym potoku aut, mijając niezliczone rozjazdy, zjazdy, mosty i wiadukty, nie dając za bardzo się rozerwać naszej kolumnie, z małymi problemami (jak łapanie przy 120 km/h nawigacji dyndającej na kablu zasilającym tuż przy ziemi, bo raczyła kolejny raz odpaść od szyby) wykończeni, ale szczęśliwi dotarliśmy do motelu.

Kiedy następnego dnia ogromny Airbus A 380 oderwał się ziemi i zataczając koło nad Oceanem skierował się na wschód, ostatni raz, patrząc z góry na Wielki Kanion Kolorado, obiecałem sobie, że jeszcze tu wrócę. Bo kto był, ten wie, że Stany mogą od siebie uzależnić. A poza tym, chciałbym zobaczyć prawdziwe bizona na wolności. ■

**HARLEYE,
TAK JAK
ZADZIWIAJĄCO
DOBRZE
SPISAŁY SIĘ
NA GÓRSKICH
SERPENTY-
NACH, TAK
SAMO
SPRAWDZIŁY
SIĘ NA
AUTOSTRADZIE.**